

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

20

I.

Ale teraz należało stawić czoło Szulcowej, która od dłuższego już czasu porozumiewała się wzrokiem z córką i uśmiechała się ironicznie, więc Gawlikowa otrząsnęła się z chwilowego znużenia, jakie ją objęło i gotowa stanęła do boju. Na szczęście jednak, stary Franciszek, strzegący egoistycznie honoru domu, w którym służył, pilnie od samego rozpoczęcia kolacji czuwał nad zachowaniem się Gawlikowej, w której fakt towarzyski nie ufał wcale i teraz, zauważywszy niebezpieczny nastrój obu pań, stanął za jej krzesłem, szepcząc dyskretnie:

— Już czas, żeby pani dała znak do odejścia od stołu. Niech panie przejdą do salonu, a ja panom do gabinetu podam czarną kawę i cygara.

Uwaga ta otrzeźwiła Gawlikową. Podniosła się z godnością, a za nią ruszyli się wszyscy od stołu.

Świt już szarzał, kiedy zaproszeni goście opuszczali mieszkanie Gawlików.

Hrabia Guccio, oszołomiony, chwiejący się na nogach, uczepił się kurczowo ramienia ex obywatela i ciągle coś mrucząc pod nosem, włókł się za nim senny, rozmarzony, po pustych ulicach miasta, zdążając do swojego mieszkania.

— Wcale udalny wieczór — co? Wysadzili się, niema co mówić! Przekłęte parweniusze! Chodź, cherami do mnie! Mam tam jeszcze niegorszą buteleczkę likieru. W gardle mi już zaschło!... Wysączymy ją pomalutku i może w mózgu się trochę rozjaśni, bo dalibóg że nie wiem, co z tym fantem zrobić?

— Z jakim fantem? — zbudził się z zamyślenia ex obywatel i ziewnął tak głośno, że aż echo rozszło się daleko.

— A no z tą panną. Z mademoiselle Gawlik. Awanse robi, oczami zawraca...

— Zachciało jej się dziewięciopalkowej korony... — zaśmiał stary.

— A ja nie wiem, czy mam ją sprzedać — westchnął hrabia Guccio, opierając się o mur kamienicy, gdzie melancholijnie zwiesił głowę, spoglądając na czubki swoich lakierowanych bucików.

Długa chwilę stali naprzeciw siebie, nic do siebie nie mówiąc. Myśli ich ocięzale alkoholem, wlokły się sennie po mózgu. Jakaś apatia i zniechęcenie ogarnęły hrabiego Guccio. Oderwał się w końcu od muru i zaklął cicho:

— Ah! psia krewo! takie życie! Córka sklepi-czarki i zbankrutowany hrabia! Dobrana para! Dieu me pardonne! Daje mi się, że rasa nasza całkiem na psy schodzi!...

VII.

Gawlik, zły i nachmurzony siedział w kawiarni Bizanca. Dochodziła już godzina jenenasta, a interesanci, z którymi umówił się na godzinę dziesiątą, nie nadeszli jeszcze. Sprawa, którą miał załatwić, ważna była. Chodziło o wielką sumę, którą miał ze współnikami zarobić i na którą jeszcze przed południem miał otrzymać zadatek przy spisaniu umowy u adwokata.

Już zaraz przy wejściu popsuł mu humor piccolo. Podbiegł w podskokach do wchodzącego Gawlika i z łobuzerskim, zuchwałym uśmiechem skłonił mu się aż do ziemi, wykrzykując głośno:

— Moje uszanowie, jaśniemu panu! Padam do nóżek panu hrabiemu! Zaraz będzie kawka, buleczki świeże! A dzienniczki jakie? Figaro, Temps, czy Neue Presse! Ah! już wiem, co jaśnie panu najlepiej dogodził! Kuryerek! Właśnie

piszą tam o jednym paskarzu, którego nakryli. Posiedzi biedaczysko parę latek! posiedzi! Hej! tam, ty mały! — zawołał do drugiego chłopca przez całą salę. — Dawaj tu Kryerek panu hrabiemu! Na jednej nodze, słyszysz!

Gawlik nawet nie rzucił okiem na przyniesioną gazetę. Wcisnął się w róg kanapy i zaczął wyglądać oknem na ulicę. Zdawało mu się, że się wszyscy patrzą na niego. Podana przez piccolo wiadomość o aresztowaniu paskarza, niemiłe go dotknęła. Od pewnego czasu coraz głośniejsze mówiono po mieście o różnych wykrytych składach nagromadzonych towarów, o rewizjach, odbywających się u osób, na które prokuratora miała pewne podejrzenia o energicznym łepieniu lichwy handlowej.

A Gawlik sumienie miał dosyć już obciążone. W piwnicy swojej miał nawet ukryte kilka dużych pak z czekoladą i cukru i czekał tylko na wyżkę cen towaru, aby go pokatnie na rynek zbytu rzucić. W najbliższych zaś dniach miał wyjechać po zakupno sacharyny do Warszawy, którą również do najsposobniejszego czasu miał zamiar u siebie przechować.



— Takiego drzewa to pan jeszcze nie widział — uniósł się anemiczny, z wyblakłymi oczami żydek, nerwowo gestykulując rękami.

Gawlika niepokój zaczął ogarniać. A gdyby tak na niego miała przyjść podobna klęska, jak owego paskarza z Kuryerka? Ludzie są ciekawi, podpatrzyć mogą, wysledzić, zdradzić! Stróż z kamienicy co prawda nie wiedział o niczym, zresztą Gawlik po pańsku mu odpłacił, ilekroć mu o późniejszej godzinie bramę otwierał, ale zawsze jakieś słówko, rzucone przy służbie, mogło dojść do niego. Za służbę także nie mógł ręczyć. Katarzyna i stary Franciszek dosyć solidnie się przedstawiali, ale nowo przyjeżdżająca pokojówka, Różia, nie podobała mu się, choć szelma tak gorącymi ślepiami zerkala na niego, że aż go nieraz ciarki przechodziły. Zanadto była ciekawa, ciągle kręciła się po mieszkaniu, a nawet złapała ją, jak podsłuchiwała pod drzwiami sypialnego pokoju, gdzie właśnie znajdowała się żona z Kazią.

Zgryziony temi myślami Gawlik nie mógł nawet dopić kawy, przyniesionej przez kelnera. A współnicy jak na złość nie nadchodzili.

Kręcki to zawsze lubił się spóźniać, ale ci kupcy, co mu oferowali drzewo do kupna, już dawno być tu powinni. Niecierpliwie sięgnął po papierosa, spojrzał na salę i zaraz twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem.

Do kawiarni wchodzili oczekiwani kupcy i bez pośpiechu zbliżali się do jego stolika.

— Ale panowie dali mi długo czekać na siebie! — przywitał ich z lekką wymówką Gawlik.

— No, co pan myśli, że my innych interesów nie mamy? — odpowiedział starszy z nich, opasły, rudawy żyd, szeroko rozkładając się na aksamitnej kanapce. — My z synem od rana gonimy i także czekać na jednego musieli. Co jest? ma pan tego kupca na drzewo?

— Mówilem wam jeszcze wczoraj, że jest, ale on chce suchego drzewa, rozumie pan! Jeżeli drzewo pana nie jest takie, jakiego ja potrzebuję, to nic z interesu nie będzie — rzekł stanowczo Gawlik, który jeszcze w ostatniej chwili chciał coś utargować na odsprzedaży. — Niech mnie więc pan w błąd nie wprowadza, panie Gold!

— Co niema być suchy! — oburzył się kupiec. — No, powiedz ty jakób — zwrócił się do syna, — czy to drzewo nie jest prima sort! To brylant, nie drzewo!

— Takiego drzewa to pan jeszcze nie widział! — uniósł się anemiczny, z wyblakłymi oczami żydek, nerwowo gestykulując rękami. — Pan takiego za tę cenę nigdzie nie znajdzie!

— Tylko się do spisania umowy i interes skończyć — dorzucił stary Gold. — A zadatek pan ma?

— Za godzinę mogę mieć — odparł Gawlik, niecierpliwie spoglądając ku drzwiom, bo zdawało mu się, że z drugiego sali dobiegł go gruby, ochrypliwy głos Kręckiego.

Rzeczywiście w kilka chwil później podszedł do stolika Kręcki i protekcyjnie podawszy rękę Gawlikowi, usiadł na kanapce, obejmując patrząc na kupców, którzy na jego widok przybrali miny poważne i pokorniejsze trochę.

— Ja teraz muszę lecieć do adwokata spisać ostateczną umowę z tamtą stroną — szepnął cicho do ucha Kręckiemu Gawlik.

— No to leć pan — wzruszył ramionami Kręcki i odwrócił się plecami do niego, patrząc na salę, w taki sposób, jak gdyby go towarzystwo, siedzące przy stoliku, wcale nie obchodziło.

Gawlika jednak to zachowanie współnika nie dotknęło. Wiedział, że Kręcki w dyskretny tylko sposób przystępował do interesów, nie chcąc się nigdzie afiszować własną osobą. Przed ewentualnym jednak oszustwem umiał się przecież w prywatnej, spisanej umowie tak doskonale obwarować, że dotąd nigdy ani na halerza poszkodowanym nie został.

Teraz, twarzą zwrócony do sali, Kręcki ani jednego słowa nie wypuścił z rozmowy współnika z żydami.

Na jowialnej, zawsze uśmiechniętej jego twarzy, nie było jednak łatwo poznać skupienia myśli, lub wysiłku wyłożonej uwagi. Miał wyraz twarzy człowieka, który z przyjemnością słucha opowiadania jakiegoś wesołego dowcipu.

— Pan musisz pojechać to drzewo obejrzeć — rzucił w pewnej chwili przez ramię.

— Obejrzeć? — zdziwił się Gawlik.

— Tak. Widocznie jest, że Gold coś kręci.

— Co ja mam kręcić! — oburzył się stary kupiec, podskakując na kanapce. — Dłacie o wielmożny pan mówi, że ja kręcę. Interes czyś ty jak złoto. Drzewo jest, kupiec na niego jest, co trzeba więcej. My dziś do umowy z panem Gawlikiem idziemy. Na co ogładać, jeździć i czas darmo tracić?

— Umowę możesz pan spisać i zadatek od tamtych wziąć — wyrzekł po chwili zastanowienia Kręcki, odwracając się lekko do Gawlika. — Ale obejrzeć drzewo pan pojedzie.

— No, chyba że tak — uspokoił się Gold i zerknął ukradkiem na syna. — Jak pan spisz z nami umowę, to jechać może... czemu nie? Interes dziś zrobiony być musi. Jak pan Gawlik zwlekać będzie, to ja innych kupców znajdę.

(Ciąg dalszy nastąpi).